

MIĘDZY SCYLLĄ A CHARYBDĄ... WSPOMNIENIE O PROFESORZE JERZYM KOLENDO

DOI 10.14746/SEG.2014.10.24

Profesor nie lubił, gdy odmieniano jego nazwisko. „Dla cudzoziemców to prawdziwy horror. Wątpliwe, aby byli w stanie się zorientować, że chodzi o tę samą osobę” — mawiał. Szanowaliśmy Jego wolę. Był dla nas Profesorem, potem Kolegą i Przyjacielem, z czasem po prostu Jurkiem, ale zawsze niezrównanym Mistrzem.

W styczniu 2014 roku wybierałem się do Warszawy z odczytem na posiedzenie Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej PAN. Tematem mojego wystąpienia miała być pewna łacińska inskrypcja, znaleziona przed wielu laty na terenie rzymskiego obozu wojskowego (legionu I Italskiego) w Novae w Bułgarii. Zadzwoił w dzień poprzedzający, 10 stycznia. Tłumaczył, że nie przyjdzie, nie może. Wszyscy wiedzieliśmy, że choroba ograniczyła Jego mobilność, że praktycznie nie wychodził z domu. Interesowało Go jednak, o czym będę mówił, dlaczego wracam do tekstu, który opublikowałem przed kilkadziesiąt laty. Był wyraźnie zafascynowany moją wizją, a przede wszystkim polemiką z kilkoma kolegami „ze świata”. Cieszył się, że „polska” inskrypcja z Novae zaistniała w świecie nauki. Przyznawał mi rację. „Będę jutro trzymał kciuki, zatelefonuj po wszystkim, jestem bardzo ciekawy przebiegu dyskusji”. Gdy odezwałem się wieczorem, po powrocie do Poznania, wiedział już o wszystkim. „To fascynujące — przyznał. — I pomyśleć, jak łatwo hipotezy, często wynik jednostronnego spojrzenia na źródła, a przez to w rzeczywistości z gruntu niemające w nich



Il. 1. Profesor Jerzy Kolendo (2007 w Poznaniu, na konferencji „Idy Marcowe 2050 lat później”,
fot. K. Antczak)

odzwierciedlenia, potrafią przez dziesięciolecia absorbować historiografię”. Rozmawialiśmy długo; była to moja ostania z Nim rozmowa. Niespełna półtora miesiąca później już nie żył. Zmarł 28 lutego 2014 roku.

Poznałem Jerzego Kolendo w maju 1975 roku. Cieszył się już wtedy sławą znakomitego epigrafika, publikował inskrypcje znalezione w trakcie prac eksploracyjnych w Novae, prowadzonych przez Ekspedycję Archeologiczną Uniwersytetu Warszawskiego, oddawał się głębokim studiom nad pozostałościami. Ponieważ w Novae rozpoczęła również działalność odrębna ekspedycja Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, jej kierownik, prof. Stefan Parnicki-Pudełko, dostrzegł konieczność wykształcenia na potrzeby zespołu własnego specjalisty od „mówiących kamieni”. Wysłał mnie więc do Jerzego Kolendo na staż epigraficzny. Spędzone pod Jego okiem tygodnie okazały się dla mnie przełomem. Najpierw był to zimny prysznic. Pojąłem wówczas, co znaczy słowo „erudycja” i czym naprawdę jest epigrafika. Profesor cierpliwie ślęczał nade mną, wbijał zasady pracy nad inskrypcją, ale i nad jej nośnikiem, czyli pomnikiem lub zwykłym fragmentem kamienia. Zadawał „prace domowe”, które konsekwentnie egzekwował. Nie wychodziłem z biblioteki, bałem się porażki, kompromitacji — w Jego oczach. Ale i tak opuszczałem Warszawę z uczuciem przegranej. Nie wierzyłem, że można osiągnąć Jego poziom wiedzy i epigraficznej eksperyencji, tej teoretycznej i tej praktycznej, na styku z kamieniem.

Już rok później przyszło mi się zmierzyć z prawdziwym wyzwaniem. W Novae odnaleźliśmy inskrypcję, która dla studiów epigraficznych okazała się wręcz modelowa. Chodzi o słynny już dzisiaj napis z nagłówkiem „signum originis” z roku 208. Byłem oszołomiony. Po przyjeździe do Poznania natychmiast za-telefonowałem do Profesora. Wyraźnie Go podekscytowałem. Zasypał mnie tysiącem pytań o szczegóły, na które w Novae nie zwróciłem uwagi. Musiałem wszystko odtwarzać z notatek, fotografii i pamięci. „Czekam na tekst do publikacji” — usłyszałem na zakończenie. Zajęło mi to kilka miesięcy żmudnej pracy, przebijania się przez rozległą literaturę, szukania analogii. W końcu, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i nieukrywanej przed samym sobą satysfakcji, przygotowany do druku materiał, około 30 stron maszynopisu, wysłałem do Warszawy. Odpowiedź nadeszła po dwóch tygodniach. Komplementy, wyrazy uznania, ale i szczegółowe uwagi, których ilość w miarę lektury systematycznie rosła. Na koniec konkluzja: „Należałoby tekst skrócić, tak mniej więcej o 1/3, a w gruncie rzeczy najlepiej byłoby o tej wersji całkowicie zapomnieć i napisać wszystko od nowa”. Z tą metodą „edukacyjną” Jerzego Kolendo będę się już stykał przez całe życie, aż do Jego Odejścia, zresztą nie ja tylko.

Wpisała się ona w Jego legendę, stała się niezbywalnym elementem wizerunku Profesora.

Spotkaliśmy się ponownie w grudniu 1976 roku w Karpaczu, na konferencji poświęconej 1500 rocznicy upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego. Na powitalne pytanie „co u pana słychać?” zdołałem tylko wykrztusić: „uczę się, Panie Profesorze”. I uczyłem się, ale odtąd w stałym kontakcie z Jerzym Kolendo. Żywo interesował się moim doktoratem; problematyka miast rzymskich nad dolnym Dunajem wyraźnie Go intrygowała. „To jest do zrobienia — powtarzał — tylko trzeba zająć się jeszcze tym i tym. Oczywiście, bez bułgarskiego i rumuńskiego nie ma o czym mówić. Literatura w tych językach jest ogromna i fascynująca, trzeba więc... No i koniecznie francuski, to wszak język epigrafiki”.

Recenzja doktoratu, ta oficjalna, do dokumentacji i odczytania na obronie, była znakomita. Do niej doszedł jednak komentarz, który otrzymałem „prywatnie”. „Wie pan, nie wszystko pisze się w recenzji, drobiazgów się nie wylicza, kogo to obchodzi? A tu ma pan kilka uwag, które mogą pomóc w przygotowaniu pracy do druku”. Zajęły one kilka stron maszynopisu. Obrona odbyła się 1 czerwca 1979 roku. Dzień wcześniej telefon: „Nie przyjadę, przykro mi. Uniwersytet postawiony został w stan najwyższej gotowości, nie ma wyjazdów, kazano nam «opiekować się» studentami, bo 2 czerwca przybywa do Warszawy Ojciec Święty Jan Paweł II. Przepraszam”. Rozumiałem, zwłaszcza Jego, który młodość, studia i pierwsze doświadczenia zawodowe przeżywał w czasach stalinowskich.

W Novae po raz pierwszy spotkaliśmy się jeszcze tego samego roku, we wrześniu. Bułgarscy koledzy zorganizowali konferencję poświęconą dwudziestoleciu wykopalisk. Jerzy Kolendo przyjmowany był nadzwyczaj serdecznie, z wielkim uznaniem. My zaś mieliśmy okazję posiedzieć nad „naszymi” inskrypcjami. Dla mnie było to ogromne doświadczenie — oglądaliśmy napisy, czytaliśmy, dyskutowaliśmy, chłonałem Jego wiedzę. W pewnym momencie wyciągnął do mnie rękę: „Jurek jestem”. I tak już zostało.

„Pamiętaj — mawiał — w epigrafice ważne jest wszystko, nawet niewielkie odłamki liter. Nie ulegnij pokusie ich zaniedbania. To jasne, że zawsze chcielibyśmy mieć do dyspozycji obszerne, wspaniałe teksty. Ale rzeczywistość, zwłaszcza ta «wykopaliskowa», jest z reguły inna. Zlekceważenie «odprysków inskrypcji», które dla wielu badaczy nie są niczym innym jak zwykłym «śmieciem epigraficznym», może się jednak fatalnie zemścić. To tak, jak byśmy płynęli między Scyllą a Charybdą i nagle podryfowali w kierunku którejś z nich. A przecież obie tylko czekają, aby nas pożreć. Źródła są takie, a nie inne. Tylko głupiec może się na nie obrażać”. Jego pasja do szczegółów, dla nas często nie-

wiele znaczących drobiazgów, była czymś nieprawdopodobnym. Ale to właśnie ta pasja i wszechogarniająca ciekawość pozwalały Mu przenosić owe szczegóły na poziom wyższy, kojarzyć je w ramach większych zespołów. Gdy pewnego razu w Novae pochylił się nad mocno potrzaskanym kilkuliterowym fragmentem inskrypcji, z którego — jak sądziliśmy — niewiele będzie można wyciągnąć, uświadomiłem Mu, że członkowie ekspedycji czynią zakłady... Spojrzał na mnie z żartobliwym błyskiem w oku: „A jaka jest stawka?”

Dla Niego stawka była zawsze wysoka: rozwiązanie konkretnego problemu badawczego, dotarcie do sedna sprawy. Obserwowałem to w trakcie wspólnej pracy nad korpusem inskrypcji łacińskich z Novae, tych znalezionych w trakcie wykopalisk polsko-bułgarskich. Był to prawdziwy poligon doświadczalny. Zwracał mi uwagę: „Nie ryzykujemy zbyt pochopnych tez. Wydaje nam się nie raz, że pierwsza myśl jest najlepsza, że uzupełnienie niezachowanego fragmentu jest pewne. Że wpadliśmy na rozwiązanie, które jest ostateczne. Z reguły tracimy wówczas z oczu szereg alternatyw. Ważny jest dystans. Nie tylko ilość potrzebnych liter decyduje”. Scylla i Charybda...

Był wielkim przeciwnikiem formalizacji kariery naukowej: „Straszną wydaje mi się perspektywa człowieka, który chce jak najszybciej dojść do celu, zrobić doktorat, habilitację i profesurę, myśląc tylko o zdobywaniu po drodze maksymalnej ilości punktów. Trzeba mieć osobistą przyjemność z pracy naukowej, z dokonywanych mniejszych i większych odkryć”.

Bacznie obserwował moich uczniów. Tak długo, jak tylko mógł, podejmował się roli recenzenta. Chętnie spotykał się z nimi w Warszawie, Poznaniu czy Bydgoszczy. Nigdy nie odmawiał pomocy. Konsultowałem z Nim dobór tematów prac doktorskich, pomysły na konferencje i publikacje. Ci z doktorantów, którzy zawozili Mu recenzyjny egzemplarz do Warszawy, z reguły przyjmowani byli w domu. Wracali oszołomieni: „Ależ to był prawdziwy egzamin!” A ja często odbierałem Jego komentarz: „Masz świetnych uczniów. Tylko pogratulować. Serce się raduje... Gdzie ty ich znajdujesz?” Gdy ukazała się praca o starożytnej Germanii i Germanach w historiografii polskiej (2011), której niestety nie mógł już recenzować, zatelefonował: „Wspaniała książka! Jakżeż świetny miałeś pomysł. I jaka szkoda, że już nie wykładam. Na pewno moi studenci musieliby ją potraktować jako lekturę obowiązkową”.

Problematyka ta pozostawała w zgodzie zarówno z biblioteczno-archiwistycznymi zainteresowaniami Profesora, jak i bezpośrednio z Jego badaniami nad starożytną Germanią i twórczością Tacyta, sięgającymi jeszcze lat studiów. Już w 1976 roku usłyszałem od Niego, że najwyższy czas, aby dokonać nowego przekładu Tacytowej „Germanii”. I powtarzał, że konieczna jest przy tym

współpraca historyków i archeologów z dobrze przygotowanym tłumaczem. Z realizacją tego zamysłu przyszło Mu czekać aż do roku 2008! To wówczas w Poznaniu ukazał się całkowicie nowy przekład pióra Tomasza Płóciennika, z obszernym wstępem i komentarzem Jerzego Kolendo. Był tu archeologiem i historykiem w jednej osobie, co zresztą doskonale oddawało Jego formację intelektualną. Cieszył się, że mógł ten dawny zamysł wreszcie urzeczywistnić. „I jest w tym coś niezwykłego — skomentował — że «Germania» ukazała się w Poznaniu. Wszak Henryk Sienkiewicz uważał, a przecież wszyscy pozostajemy pod presją jego wizji, że Ligia była Wielkopolanką. W jakimś sensie koło się zamknęło”.

Miał ogromne poczucie humoru. Kryło się za nim także zrozumienie upływu czasu i dystans do przemijania. Gdy kiedyś zachnąłem się na Jego dywagacje o śmierci i zapamiętywaniu, odpowiedział z uśmiechem: „Co cię tak dziwi? Jest to naturalna kolej rzeczy”. A widząc moją minę dodał: „Chyba uwiecznisz mnie jakimś pośmiertnym wspomnieniem...” Po czym któregoś dnia przesłał mi swój biogram zatytułowany... «autonekrolog»: „Prof. Jerzy Kolendo, historyk i archeolog świata antycznego, obecnie zatrudniony w Ośrodku Badań nad Antykiem Europy Środkowo-Wschodniej. Od 1981 aż do przejścia na emeryturę profesor w Instytucie Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Pracuje nad problematyką historii gospodarczej i społecznej starożytnego Rzymu, nad kontaktami ziem Polski ze światem śródziemnomorskim oraz nad dziejami zainteresowań światem śródziemnomorskim” — i tak dalej. A na końcu: „Jako historyk świata starożytnego osadzony w środowisku archeologicznym starałem się w miarę możliwości pokazać na konkretnym materiale korzyści z wzajemnego wykorzystania doświadczeń, metod i rezultatów badań tych dwóch dyscyplin. Jeżeli mi się to choć po części udało, to byłby to najcenniejszy element mojej pracy naukowej”.

Wpisał się wyraźnie w tradycję mojej rodziny. Poniekąd dlatego, że ciągle wyjeżdżałem do Jerzego Kolendo, ciągle o nim opowiadałem, ciągle przychodziła od Niego poczta, ciągle mieliśmy jakieś wspólne plany, nierzadko razem podróżowaliśmy. Wielokrotnie był naszym Gościem. Kiedyś, przy okazji rekonstruowania jakiegoś etapu wspólnej pracy nad inskrypcjami z Novae, wyrwało mi się: „Ależ Jurku, przecież pamiętam, mówiliśmy o tym po raz pierwszy 24 stycznia 1980 roku, w obecności profesora Stefana Parnickiego-Pudełko. Byłeś wtedy w Poznaniu”. Spojrzał na mnie zdumiony: „Ale skąd możesz tak dokładnie wiedzieć, że dwadzieścia pięć lat temu, akurat w tym dniu byłem w Poznaniu!” Roześmiałem się: „Trudno nie pamiętać, bo właśnie w tym czasie, gdy nadzwyczaj uczenie dyskutowaliśmy o inskrypcjach z Novae, na świat

przyszła moja starsza córka Anna. Obie panie, żona i córka, do dzisiaj mi to wypominają”. „No tak, odpowiedział żartobliwie, to zobowiązuje, poczułem teraz coś w rodzaju odpowiedzialności za twoją rodzinę”.

Pozostawił po sobie niezatarte wrażenie. Był wzorem niebywałego erudyty, łączył w sobie ogromną wiedzę polihistora i archeologa. Był genialnym epigrafikiem, na tym polu dorównywał najwybitniejszym przedstawicielom tej dyscypliny, takim jak Louis Robert i Hans-Georg Pflaum, Géza Alföldy i Silvio Panciera, André Chastagnol i Robert Etienne.

17 października 2011 roku uroczyście obchodziliśmy odnowienie Jego doktoratu, co stało się świętem szeroko rozumianego środowiska badaczy antyku: archeologów, filologów klasycznych i historyków. To wówczas, opisując swą perspektywę badawczą, stwierdził: „Kwestia [badań] sprowadza się do dwóch różnych stylów, dwóch modeli uprawiania nauki: koncentracji oraz szerokości zainteresowań. Nie są to, a raczej nie powinny być, jak mi się wydaje, pojęcia przeciwstawne, ale komplementarne. Jednocześnie jednak każdy badacz powinien znaleźć swoje miejsce w nauce, powinien umieć żeglować pomiędzy Scyllą a Charybdą”.

Leszek Mrozewicz